

Wychodzą we *Wto-*
rek, Czwartek i Sob-
otę. We Lwowie prunu-
merata roczna 6 Zlr. —
półroczna 3 Zlr. — kwar-
talna 1 Zlr. 30 kr. —
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką poc-
ztową rocznie 8 Zlr.
półrocznie 4 Zlr. — kwar-
talnie 2 Zlr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza za je-
dnorazowe umieszczenie
po 3 kr., za następne po
1½ kr. i za dopłatą 10 kr.
steplowego.

Biuro ekspedycji w księ-
garni *H. W. Kallenba-*
cha przy placu dykastery-
alnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

I.

Bohater powieści przychodzi na świat.

(Ciąg dalszy.)

Opisawszy całą przeszłość rotmistrza i jego biednej żony, wrócimy znowu do wielkiej sali w dworze kryweńskim, gdzieśmy zostawili rotmistrza grającego z parochem w maryasza.

Gra szła na pozór spokojnie, mimo ruchu jaki panna w sypialni biednej położnicy, mimo głośniejszych i konwulsyjnych spazmów, jakie z tamtąd dochodziły do uszów grających. Biedny paroch zastraszony przegrywał dublę po dubli. Rotmistrz był jak zawsze zimny i obojętny. Co się w nim działo trudno odgadnąć. Rzucił nieraz kartami i już wstawał, by może odwiedzić żonę i syna, ale nie chciał okazać żadnej czułości, którą zwykle najsurowiej karmił w żonie.

— Bracie! Karolina kona! — krzyknęła łowczanka blade jak trup...

I wchodowe drzwi otworzyły się w tej chwili, i weszła Eudochia zapłakana, prowadzona przez wachmistrza i Ostapa. Smutny to był pochód dla Eudochii, którą mimo przekleństw Warwary porwano w pół naga i bosą. Nie pozwolili jej nawet dać małej córeczce piersi po raz ostatni. Krzyk dziecięcia głodnego i szturkanie Ostapa towarzyszyło jej aż do dworu.

Rotmistrz poskoczył ku wchodzącej mamce, i podniósł obie pięście żyłaste i drżące nad jej głową. Była chwila, w której przytomni myśleli że ją zabije. Eudochia niewiedziała nawet niebezpieczeństwa jakie jej grozi; ona płakała za swym biednym, głodnym dzieckiem. Lecz się rotmistrz zatrzymał, silnem nateżeniem powstrzymał srogi gniew, który w nim kipiał, i tylko zęby ścisnął i dzikim wyrzekł głosem:

— Będiesz mamką!... ale jak nią być przestaniesz... pamiętaj... Odwrócił się i poszedł do pokoju żony, a za nim wszyscy.

— Kładkę spuścić! — krzyknął jeszcze do wachmistrza — i mnie klucz przynieść...

Przyjście rotmistrza do pokoju żony wzmogło jeszcze jej cierpienia spazmiczne. Daremny był wszelki ratunek. Podczas gdy dziecko żywotne soki czerpało z piersi matczynych, matka coraz cichsza, coraz spokojniejsza, usypiała na wieki. Tyle jeszcze miała czasu, że rzuciła osta-

tnie spojrzenie podzielone między męża i dziecka, a w tem spojrzeniu umieściła ostatnią prośbę błagalną i ostatnie przebaczenie i ostatnie błogosławieństwo.

Tej samej jeszcze nocy przybyły w dom rotmistrza: trumna i kołyska.

Rotmistrz jeszcze gorzej znenawidził mamkę, której przypisywał śmierć żony, nie chcąc się przyznać, że ją sam zabił swem obejściem się nieczułem, i ostatnią swą gwałtownością. To też w duszy zamysłał zemścić się na niej. A w takim mianowicie względzie słowa sobie dane go nigdy nie łamał.

Smutne i posępne nastąpiło życie w Kryweńce. Rotmistrz ztetryczał do reszty; maryasza nawet przestał grać zupełnie, i tylko snuł się jak cień jaki, jak mara z kąta w kąt. Syna rzadko widywał, by nie zdybać mamki. Dla Eudochii było to życie jeszcze straszniejsze. Biedna Eudochia, choć prostaczka rodem i wychowaniem, miała serce czułe, które mimo wszelkich mądrych aforyzmów d'Alemberta nie jest wynikłością wychowania, ale darem bożym. Tęszniła za mężem, za dziećmi, chociaż na niczem jej nie brakowało we dworze, bo panna Gertruda, która sierocie zastępowała miejsce matki, starała się o to by mamce we wszystkim dogodzić. Rotmistrz najsurowiej zakazał by do Eudochii przez cały czas nie przypuszczano ani męża ani dzieci. Raz tylko jeden w niebytności rotmistrza, którego jakiś ważny interes powołał do najbliższego miasteczka, wachmistrz, który jego miejsce zastępował, dał się ubłagać. I na kuraż napiwszy się nie mało wódki, przypuścił do dworu i Ilka i wszystko troje dzieci Eudochii. A nawet sporego musiał zaczerpnąć kurażu, kiedy, nie chcąc nikogo przypuszczać do tajemnicy, sam na rękę przyniósł małą Olenkę. Była to wielka dla Eudochii i rozkosz i rozpacz razem. Usta się jej śmiały, podczas gdy łzy płynęły potokiem po zbłądłych licach. Pietruś mały, tak bowiem ochrzczony został synek rotmistrza, podobał sobie Olenkę i ciągle ku niej malenkie wyciągał rączkę. Ten widok rozczulił jeszcze więcej biedną kobietę i więcej jeszcze przywiązała się do Pietrusia, którego lubiła i piastowała zawsze jak najsumiennie. Krótko przemknęły te chwile dla Eudochii, bo wachmistrz w strachu, by nie uraził rotmistrza, odprowadził całą rodzinę sam jak najprędzej za kładkę; a wróciwszy, jeszcze się potężniej upił, by zalać zgryzotę sumienia.

Rotmistrz wrócił jeszcze w kwaśniejszym jak zwykle

humorze, bo musiał być na pogrzebie teścia, który za dumny by się udawać o pomoc do zamożnego zięcia, umarł z nędzy w lichej mieścinie. Prawda, że miał za to suty pogrzeb kosztem rotmistrza sporządzony. Ledwie wrócił zajrzał do kalendarza; było to bowiem teraz jego najczęstsze zajęcie. I nikt by nie odgadł dla czego. Oh niecierpliwie rachował dni, które musi jeszcze mamka zabawić w jego domu. I to nie dla tego, aby się jak najprędzej pozbyć jej niemiłego widoku, ale aby się jak najprędzej na niej zemścić. I rzecz dziwna i okropna razem; modlił się codziennie, modlił szczerze, a przecież po każdej modlitwie przysięgał sam przed sobą, że się zemści na tej biednej i niewinnej kobiecie za swój własny grzech.

I przyszedł nareszcie, jak wszystko przyjść musi, złe czy dobre, przyszedł ten dzień zemsty.

Wolałbym rzucić zasłonę na tę ostatnią scenę, łączącą się z prologiem niejako powiastki mojej, ale dla zrozumienia późniejszych wydarzeń muszę ją choć w krótkości przebieść.

Skoro minęły trzy kwartały, powiedział do panny Gertrudy, swym zwykłym głosem:

— Chłopca trzeba już odłączyć!... bez uwagi, bardzo aśeki proszę. Zawołać mamkę do mnie.

Wszyscy przewidywali coś okropnego, wszyscy drżeli, a nikt nie śmiał się odezwać, i każdy zresztą czuł że na daremnie.

— Czy słyszysz stary gapiu! huknął na wachmistrza. Ostap niech tu przyjdzie.

Weszła Eudochia zapłakana, bo pocziwej kobiecie żal było za Pietrusiem.

— Przestałaś być mamką! wrzasnął na nią rotmistrz.

— Panie, Panie! — ozwała się kobieta.

— Milcz ty chamskie plemię!... Pamiętasz, żeś nie chciała przyjść gdym posłał po ciebie?...

— To matka moja!...

— Milcz łajdaczko!... I moja żona z niespokojności dostała spazmów, i umarła...

— Bracie!... ona przestraszyła się... — zagadła łowczanka z odwagą malującą jej dobre serce.

— Aśka się nie odzywaj!... Gdyby nie aśki głupie pieszczoty, któremi psułaś moją żonę, byłaby może żyła dotąd...

— Pamiętasz! — mówił dalej zwrócony do drżącej ze strachu Eudochy. Przrzekłem karę, i kara cię nie minie.

— Słuchaj aspan! — dodał szukając oczyma wachmistrza, ale Pardwa już od chwili zniknął. Gdzież ten gap się podział?

Pan Teodor Pardwa nie bez przyczyny wyniósł się; on pobiegł po starą Warwarę, bo wiedział, że ona jedna przez swój stan bezprzytomny jakakolwiek wywierana nad rotmistrzem władzę. A tak się spieszył, że nawet zapomniiał nabrać kurażu. Stary wachmistrz miał swoje dobre strony.

— Kiedy go niema! — ciągnął dalej rotmistrz; rozciągnij ją Ostap, i wylicz pięćdziesiąt nahajów — a pamiętaj, że za każde słabe uderzenie, dostaniesz odemnie samego dziesięć nahajów.

— Panie! ja nie wytrzymam! ja biedna kobieta... ja przepraszam... ja mam dzieci...

— Milczyć i słuchać!... — krzyknął jeszcze groźniej.

I już Ostap podniósł rękę i nahaj, gdy się drzwi otwały nagle i stanęła w nich Warwara z swym obłąkanym wzrokiem i wyciągniętą suchą ręką.

— Stójcie! — zawołała. Kto się jej dotknie, temu uschnie ręka...

Na widok Warwary rotmistrz wzdrygnął się mimowolnie...

— Panie!... — przemówiła do niego, zbliżając się z rodzajem powagi; nie każ jej bić!...

— Idź precz babo! Kto tu wpuścił tę waryjatkę...

— Ja waryatka!... ho! ho! ho!.. a przez kogo!.. sumienie gada ze mnie... Warwarą już dawno nie żyje...

— Precz odemnie! wygnąć ją; psami wyszczuć!...

— Pamiętaj... byś panie i ty tak kiedy nie umarł, i żył tylko sumieniem... byłbyś panie jeszcze okropniejszy odemnie waryat... Nie każ jej bić... bo to moja córka!

— Właśnie dla tego... Ostap!... mój!... mudziu!... zaczynaj...

Ty panie nie możesz karać jej... bo ona... jak sam wiesz jest córką!... Panie! chcesz wiedzieć czyją...

Okropny był w tej chwili rotmistrz, na którego twarzy widoczne było pasowanie się z gwałtownym gniewem który go dusił — lecz jeszcze się wstrzymał...

— Idźcie wszyscy precz! — krzyknął, i wybiegł sam z pokoju...

Łatwo pojąć jak szybko wynieśli się wszyscy.

Biedna Eudochia wróciła do chaty, do męża, do matki, do dzieci, lecz niedługo się niemi cieszyła... Czy to w skutek przestachu, czy z innej przyczyny, mocno zamniomogła i po kilku miesiącach cierpień umarła. Po jej śmierci Ilko i Iwaś, jeden z bliźniaków znikli jakby kamień w wodę rzucił. A Mykiłka sam jeden czteroletni chłopiec, goły i bosy przyszedł do dworu. Po długim namyśle rotmistrz pozwolił mu zostać we dworze. A w chatce została stara waryatka — i mała Olenka.

II.

Dwadzieścia lat później.

Dwadzieścia lat przeskoczyć nam wypada. W życiu rzeczywistym jest to skok niepospolity, który się przy dzisiejszych czasach zmiennych ani ludziom, ani rzeczom, ani myślom, ani uczuciom nie udaje. Jest to przepaść pochłaniająca najszczytniejsze pomysły książkowe, najwznioślejsze dzieła sztuki, ba nawet najmędrsze ustawy ludzkie, chyba je przeniesie lekkie skrzydło geniuszu lub ta olbrzy-

mia ręka opatrności, która je wydała — w dzieje światowe. Ale w powieści skok ten udaje się najdoskonalej, i bez trudów. Użyłem zaś go, wiedziony poczęści artystyczną koniecznością powieści, a poczęści aby czytelników nie nudzić długim opisem dzieciennych i młodzieńczych lat mego bohatera. I przeniesiemy cię znowu w cudne okolice podgórzia karpackiego, które właśnie czerwcowa pogoda wiosennym umaja przepychem. I jesteśmy znowu w Kryweńce. I wszystko w tej pięknej przyrodzie jak było przed laty dwudziestą, bo przyroda nie zmienia się, jak się zmieniają ludzie i ich dzieła. Skały, góry i bory krywieńskie nie zmieniły w niczem kształtów swoich; ażali zaś zaszły zmiany jakie w znanych nam dworzach i chacie późniejszej się dowiemy.

Mówiłem że to było na wiosnę. Wiosna w górach rzadko bywa piękna, bo od śnieżnych szczytów wieje jeszcze wiatr mroźny i silniejszej przeszkadza wegetacji, bo z gór spadają topiące się śniegi, i albo łącząc się z dawnymi potokami rozlewają się szeroko, albo zatrzymane jaką przeszkodą wyższego pagórka czy skały, szerokie zostawiają namuły. Lecz te chwile niepewności nikną prędko, dzięki słońcu którego siła wzmaga się codzień, i wnet nowe rozpoczyna się życie. O ile było ciche i martwe w zimie, o tyle staje się głośnie i żwawe, wesołe i śpiewne. Jest to bowiem czas, w którym się górale ze wszystkich swoich wyższych czy niższych siedzib wybierają z trzodami bydła i owiec na wyższe połoniny. I ludzie i trzody biorąc wzór od pierwszego skowronka coraz weselszemi tony próbują zaszanowanych przez zimę głosów, i z skały na skałę, z góry na górę, przez gaje, lasy i urwiska, przenoszą się radośne głosy, śpiewane i echem po całej górnej roznoszone okolice.

Niedaleko Kryweńki była niewielka dolina, rodzaj oazy zielonej wśród skał; była to połonina w miniaturze. Poza chaty, rogami boru szła ścieżka coraz wyżej aż do krzyża, który stał na skale prostopadłej i popękanej. Krzyż ten mnogimi tradycjami ludu uświęcony, w wielkim był u niego poszanowaniu. Od krzyża krawędzią skały wąziutką szła ścieżka; nagle na zakręcie pojawiła się zdziwionemu oku dolina zaczarowana bujną zielonością trawy, różnobarwnem kwieciami, cudną wonią, tą wonią górskiej wegetacji, zdolną zda się nowe w piersi wlać życie, a mianowicie całem otoczeniem, które tam przyroda hojną rzuciła ręką. Otaczające bowiem wzgórza pokrywały krzaki jałowcowe z wdziękiem porzrzucane; dalej nieco mały gaik świerkowy, a naprzeciwko krzyża wznosiła się jakby naumyślne siedzenie, niewielka mchem pokryta skała, umyślnie tam na to zda się rzucona, aby z niej używać widoku niezwykłej piękności. Bo z jednej strony widać było piętrzące się Karpaty, jakby w półkole zagięte, a z drugiej strony, widok spadając coraz niżej i niżej przez mnóstwo najpiękniejszych przemian krajobrazowych,

przeskoczywszy niezliczone i sioł kłaby, i rzek wstęgi, gubił się nareszcie w mglistym błękicie, jakby myśl człowieka w nieskończoności. A tuż pod samem okiem dostrzedz można było i część dworu krywieńskiego, i niektóre zielone chaty obejścia, i świecący krzyż cerkiewki.

W chwili gdy do tej dolinki wchodzimy, widzimy ją ożywioną niewielką trzodą owiec, która się pasła porozsypywana tu i owdzie pomiędzy krzaki i skały. Na owem zaś skalnem siedzeniu siedziała dziewczyna młoda i piękna. Była to goralka strojem i ułożeniem całem, ale wyrazem twarzy i rodzajem piękności zdawała się należeć do wyższych klas społeczeństwa. Prócz wysokiego wzrostu i gibkości właściwej gór mieszkańcom, wszystko w niej było tak delikatne, i cera twarzy, i błękit oczów, i połysk jasných włosów, i mały ust otwór, i nawet ten wyraz twarzy na pół smutny, na pół marzący, iż widok jej mimowolne mógł sprawić podejrzenie, że to romantyczna jaka sąsiedniego dworu córka, przebrana, bawi się w pasterkę. I podejrzenie to zdało by się tem sprawiedliwsze, na widok niektórych szczegółów jej stroju. Staranne wyczesanie i splecenie włosów nie było wiejskie, a nadzwyczajna czystość i cienkość haftowanej koszulki, którą wedle górskiego zwyczaju miała na sobie, przechodziła możność i przyzwyczajenia najwybredniejszej w strojach góralki. Co by nie było, to pewna, że ta dziewczyna pięknoscią swoją mogłaby bezpiecznie pójść w zapasy z wszystkimi salonowymi pięknosciami. Mianowicie spojrzenie jej oczów błękitnych, przyémionych długimi rzęsami, było tak łagodne, tak ujmujące, że mimowolnie zdawało się zniewolonemu jeżeli nie zaczarowanemu dostrzegać tam głębszej myśli, i głębszych uczuć.

U nóg jej spoczywał ogromny pies biały, owezarskim zwany; sama zaś zdawała się czy myśleć, czy patrzeć nateżonym wzrokiem przed siebie. Oczy jej zwrócone były w stronę, z którą jak mówiliśmy wyglądały wierzchy zabudowań i drzew krywieńskich. Czasem nawet oko jej zdawało się niecierpliwiej poglądać przed siebie. W tym poza nią lekki dał się słyszeć szelest, lecz za nim zdołała się obrócić, już się uczuła w pół objętą, a nim krzyknąć zdołała, usta jej zamknął silny i gorący pocałunek. Chociaż się to stało tak nagle i całujące usta tak prędko zasłoniły ją, że nie mogła dojrzeć całującego, śnać po uścisku, czy po pocałunku, przez tajemną siłę sympatyj poznała napastnika, bo nie próbowała się wyrwać, a nawet usta jej odcałowały nawzajem — a może było to tylko szybkie zamknięcie ust, do krzyku otwartych, które napastnik jako pocałowanie przyjął. Dopiero po chwili, gdy już usta miała zupełnie wolne, i napastnik się podniósł, opamiętała się góralka, i wydawszy lekki, urwany krzyk niby przestachu, na poły z uśmiechem, na poły serio, zarumieniona po uszy i śliczna jak malina ozwała się do niego:

— Jakżeście mnie przestraszyli paniczu!...

— Czyżeś się mnie nie spodziewała Olenko — odrzekł panicz.

— Bo ja się tam zapatrzyłam, i ztamtąd...

— A ja tymczasem obszedłem w około, i z tamtego pagórka skoczyłem do ciebie.

Pobladła dziewczyna z prawdziwego przestachu, i skoczyła z miejsca patrząc ze drżeniem na przeszło sążniową przestrzeń, którą panicz przeskoczył. I klasnęła załamaniem rączkami.

— A gdybyście byli padli tam w dół...

— Olenko! czy płakałabyś za mną...

Miasto odpowiedzi słów, odpowiedziała daleko trafniej i wymowniej, bo łzami, które nagle jak groch duże potoczyły się po białych licach.

— Ty mnie kochasz Olenko?...

— Paniczu! paniczu!.. i cóż z tego?.. — odrzekła smutnym głosem. A panicz usiadł koło niej, i jedną ręką przycisnął ją do siebie, a milcząc także i patrząc w jej twarz, szukał jej spojżenia w dół spuszczonego.

Tej chwili milczenia użyjemy, aby powiedzieć kto był ten panicz i przejrzeć choć pobieżnie jego powierzchowność. Był to młody dziedzic Kryweiki, pan Piotr Góra. Twarz jego i cała postawa była silna, hoża i dorodna. Jasnowłosa, jasnooki, miał jedną z tych twarzy bez wszelkiego wydatniejszego wyrazu, który nawet w jego wieku niema jeszcze czasu by się ustalił. Usta tylko jego więcej ściśnięte przypominały dawny wyraz ojcowski, uporu i zawziętości. W tej chwili piękniejszy był niż kiedykolwiek, bo całą jego twarz rozplómiętało uczucie silne i prawdziwe. On szczerze kochał Olenkę, a przynajmniej zdawało mu się, że ją szczerze kocha. Wychowany w górach bez wszelkiego prawie wychowania, oddany już od lat kilku sam sobie, chociaż licząc dopiero dwadzieścia lat, był on dzikim i nieokrzesanym synem tych gór, i o mało się różnił od każdego z poddanych jemu górali, chyba tem początkowym wychowaniem które na czytaniu i pisaniu się skończyło, a które zawdzięczał wachmistrzowi Pardwie, i otyłemu parochowi. Lecz obydwa dawno już pomarli, a po ich śmierci swawolnemu chłopcu nie chciało się pracować samemu, bo wolał oczywiście strzelać bąki, i skakać po skałach, co oczywiście do wysokiego doprowadził stópnia. Póki jeszcze żyła łowczanka, do której mały Pietruś szczerze miał przywiązanie, musiał zaglądać czasem do ksiązek, z kąd połapawszy bez sztyku i ładu to to, to owo, niby coś umiał, a w rzeczy samej nic nie umiał. Lecz panna Gertruda wkrótce się przeniosła do wieczności, a Piotr został zupełnie sam sobie oddany. Sąsiedztw było niewiele, a jeżeli rzadko wyjeżdżając z gór swoich które lubił bo mu w nich było swobodnie, zdybał się na jakim jarmarku z okoliczną młodzieżą, nabył od nich może więcej obywatelskiej ogłady, ale też zarazem i szczególniejszej

butności, i pewnie więcej się zepsuł niż skorzystał moralnie. Bo jest to naturą młodzieży, iż daleko prędzej przejmie się złemi niż dobrymi przymiotami towarzystwa. Ubiór też pana Piotra był na pół paniczowski, na pół góralski. Jeżeli zamiast guni miał rodzaj bluzy, za to niższa część stroju była zupełnie góralska, i prócz przewieszanej przez plecy torby, miał w rękę góralski toporek.

— Bo ja ciebie moja Olenko! kocham z całego serca... ja ciebie bardzo kocham.

— Ale czy długo będzie trwało to wasze kochanie mój piękny paniczu?

— Póki żyć będę...

— Jak słyszę was, gdy mi mówicie o tem kochaniu, to ja wierzę, bo mnie tak dobrze, tak miło... mnie ledwie serce nie wyskoczy z radości.... Ale babka mówi że wszyscy mężczyźni tak mówią ale inaczej myślą...

— Czyż ja, moja ty śliczna Olenko nie robię wszystkiego dla ciebie... Ty wiesz jaki ja był dawniej, a jaki dzisiaj. Gdzież by dawniej te przekłete chamy tak próżnowali jak dzisiaj próżnują.

— To bracia moi paniczu!... ja jestem taka prosta dziewczyna, jak oni prości chłopci...

— To też, czy choć raz uderzyłem kogo, czy raz skarałem którego batogiem... a wiesz że dawniej.... już to od ojca się nauczyłem.

— Wyście dawniej byli bardzo źli paniczu!...

— A widzisz Olenko!...

— To też teraz zaczynają was wszyscy kochać na wsi.

— Nie wierz temu!... ja im nie wierzę... ale mniejsza o to... byleś ty mnie kochała... niech sobie próżnują, niechaj pole leży odłogiem... Olenko moja!..

— Ja też was kocham... co kocham to kocham.. bo wyście bardzo dobry, mój miły, mój złoty paniczu!

I silną, prawdziwą porwana namiętnością objęła go za szyję, i przycisnęła głowę jego do dziewczęcego łona, i płacząc i śmiejąc się razem, całowała jego czoło, oczy i usta.

(D. c. n.)

Żagiel.

Ponad błękitne, szerokie tonie
Samotny żagiel wędrował.
Czegóż on szuka w dalekiej stronie?
Co w swoim kraju pochował?

Fale się pienią, maszt ugiął czoło,
Już ledwie dojrzy powieka...
On tam nie szczęścia szuka w około,
I nie od szczęścia ucieka.

Gdy wał się uległ pod nim spieniony,
I promień grzeje go znojny,
On pragnie burzy, walki;— szalony!
Czyż w burzy będzie spokojny?

W. Sz.

Najnowsze dzieła.

*Album K. W. Kilisińskiego, nakładem J. K. Żupańskiego
w Poznaniu.*

Pod tym tytułem wyszły świeżo zbiór rysunków i sztychów naszego nieodżałowanego Kilisińskiego podaje nam sposobność powiedzenia słów kilku tak o samej dziele, jak i głównie o zmarłym zawczasie Kilisinskim. Co do książki samej, mało mamy wyszłych w kraju naszym wydań tak ozdobnych. Ryciny wszystkie są wykonane z wielką starannością i wdziękiem, i dla profanów nawet w sztuce rytowniczej sprawić mogą niepospolitą przyjemność. Jakoż szczerze zalecić możemy to jedyne może w kraju naszym dzieło, które przedwzyskiem odznacza się trafnym bardzo wyborem rozmaitych i licznych prac naszego artysty. Przeglądając wszystkie ryciny w Album zawarte, możemy od razu prawdziwie powziąć wyobrażenie o wielkości i rodzaju talentu naszego znakomitego ziomka. Za text do rycin służy wspomnienie o życiu Kilisinskiego, krótkie, ale z uczuciem i prawdą napisane. Życie to zaiste zasługuje, by je poznać bliżej i studiować niejako w całym onego dla nas szczególnie pożytecznym rozwoju. Bo jeżeli talent Kilisinskiego różnorodny i jedyny zasługuje na szczególniejszą uwagę, daleko ważniejszym i ciekawszym wydać się nam musi kierunek jaki on sam własnym namysłem nadał talentowi, jakim go opatrność obdarzyła. Nie idąc za przykładem wielu, zagranicznych mianowicie artystów, którzy czy kaprys własny, czy kaprys mody lub czasu, czy nareszcie żądę łatwej sławy i łatwej korzyści biorąc za wyższe natchnienie, miotają się wszędzie i rzucają na wszystkie rodzaje, kilka pożytków jeniálních zalewają mnóstwem wyrobów miernych i rzemieślniczych; nasz Kilisiński zrozumiał że daru bożego trzeba użyć na pożytek własnej ziemi. Bo zaiste, dar boży szczególnemu dany człowiekowi, powinien być zarazem darem danym ogółowi. I stosownie do tej prawdziwie świętej myśli postępował Kilisiński całe swe życie. Wszystkie jego roboty, czy piórem, czy ułówkami, czy rylcem wykonane, noszą na sobie piętno ojczyście. Jeżeli tworzył to same sceny żywem z życia narodowego schwytane; jeżeli skopiował, to albo przyrodę naszą własną, albo sceny rodzajowe naszej ziemi, albo też milczące codzien, a tak godne zachowania, pamiątki ojczyście. Znawcy i krytycy zarzucają mu częstą niepoprawność rysunku. Niebędziemy się sprzeczać, powiemy jeno, że pracował z niesłychaną szybkością, i z takim rzec można gorączkowym zapałem, jakby przewidywał, że mu się spieszyć wypada. Ale to pewna, że jeżeli odrysował krajobraz jaki ojczyisty, wszystko było w nim prawdziwe, wszystko swoje: i niebo, i ludzie, i wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Choćbyś nieznał okolicy, patrząc na jego krajobraz, poznasz od razu że to krajobraz nie cudzego, ale własnego kraju, co nie można powiedzieć o wielu pejzażach, ja-

kich stopy wychodzą za granicą. Cóż powiedzieć więcej możemy o najważniejszej jego zasłudze w licznych zbiorach, jakie po nim zostały, kostiumów, uzbrojeń dawnych i nowych, pomników, medalów, monet i pieczęci. Są to dla archeologów, dla historyków, dla powieściarzy i dla ogółu nareszcie ludzi, którym nie jest to obojętnem, co jest ojczystem, skarby nieprzebrane. Wykonanie rysunków i sztychów tego rodzaju jest mistrzowskie, jest nieporównane, a w oddaniu najdrobniejszych szczegółów, zadziwiające zachowaniem charakteru całości, obok mikroskopicznej wierności w najmniejszym szczególe. Kto chce mieć w tej mierze choć nie zupełne wyobrażenie, temu sumiennie radzić możemy przejrzenie i studiowanie rzeczowego Album. --

Koncert p. Karola Mikuli.

W żadnym roku jeszcze nie było tak mało w naszym mieście koncertów jak w minionym. Może rok rozpoczęty będzie szczęśliwszy. Początek przynajmniej zrobiony jest bardzo pomyślny. Koncert p. Mikuli zgromadził dnia 7 stycznia bardzo liczne grono do sali reductowej.

Pan Mikuli jest uczniem Chopina. Wraca właśnie z Jass i Bukarestu, gdzie dawał koncerty.

Koncert swój rozpoczął p. Mikuli od Chopina Nokturny II. *opus 9. w es dur*, poczem przeszedł do Polonesa *w es dur II. op. 22* opuściwszy wstęp do tego Polonesa *Andante spianato* Już w Nokturnie poznaliśmy, że to nie początkujący i nie zwykły koncertista. Śpiewnością wśród spokoju uderzała gra jego. Sławny Polones trzymany w wyższym stylu okazał nam, iż istotnego ucznia Chopina słyszymy grającego. W dokładnem we wszystkim zaokrągleniu polonesowych tempów, poszedł koncertista wyraźnie w ślady mistrza swego.

Pieśń: „Tęsknota” utworu p. Mikuli odśpiewana przez pannę Riedel była za krótka aby o charakterze śpiewu i talencie kompozytora powziąć można wyobrażenie. Panna Riedel ma piękną szkołę, wielką znajomość muzyki, głos pełny i dźwięczny. Przy tych zasobach więc nie dziw, że zachwycała wszystkich rzewną pioską: „Fijołek” F. Mendelsohna. A byłaby jeszcze świetniejsze zrobiła wrażenie, gdyby uniknęła była tremolowania. Wydało się to bowiem, jakby jej niedostało siły naturalnego głosu i tremolowaniem więc chciała ten brak zastąpić. A że tak nie jest, dowiodła nam późniejszym śpiewem wielkiej ary Beethovena „Ah perfido.”

Nokturna z *op. 32 w as dur* i Mazurka Chopina *w f moll z opus 7*, które po śpiewie nastąpiły, dały nam wyobrażenie jak Chopin grywał. Osobliwie owe upoetyzowanie prostych melodyj przez zachowanie wśród pieśni i passażów najtrudniejszych, tempa Mazura zrozumieliśmy dokładnie. Gra p. M. była dla nas kluczem do utworów Chopina. Kogóż niezachwycało to urozmaicenie Mazurka prześlicznie wykonanem naśladowaniem basów chłopskich, lub odzywającą tu i owdzie dysonancją rzempoląców w karczmie skrzypka, tak cudną, bo nawet w swym rażącym rozdźwięku spływającą się w harmonią ogólną. To też słuchacze hucznymi oklaskami obypali koncertistę i szturmem domagali się powtórzenia. Po przywołaniu wystąpił p. M. z utworem własnym, Mazurkiem, którego nie było w zapowiedzeniu. Pierwsza część Mazurka jakby się zabierał do tańca, druga w sposobie Thalbergowskim, trio już szkoła Chopina, a po całym pełnemi garściami rozsypał wszystkie możliwe brawury, które z taką lekkością nie pokonywał, ale przelatywał, iż nigdy tempo Mazurka nie zatarło się.

Cóż powiedzieć o Fantazyi Thalberga na motywa z opery: Niema

z Portici. Wykonanie nieporównane. I poodegraniu tej fantazyi przywołany p. Mikuli zagrał jakby na pożegnanie *Marche funèbre*, w *A moll* z Sonaty *A moll* Chopina. Głęboka ponurość obok rzewnej śpiewności, akordy jakby bicia dzwonów ucichających powoli. Osobliwie największe mistrzostwo przebiegało się w *trio* trzykroć wracającym a zawsze odegranem z nowym, świeżym a cudnego wyrazu dodającym odcieniem. Tak nas tym marszem pogrzebowym rozsmucił, rozżalił koncercista, tak głębokie uczynił wrażenie, iż nastąpiła prawdziwa grobowa w sali cisza. Nikt nie śmiał ruszyć się, najmniejszego zżelestu uczynić, dopokąd nie przebrzmiało ostatnie uderzenie dzwonu pogrzebowego. I szkoda że w niespodziankami tem następstwem obdarzył nas koncercista. Wolałbył po Mazurku Chopina zagrać *marche funèbre* a po fantazyi Thalberga swojego pięknego mazura. Niebylibyśmy z tak smutnem uczuciem rozchodzili się do domu. Mamy więc słuszny żal do pianisty, i domagamy się naprawy tego złego co nam wyrządził. Domagamy się drugiego koncertu, w którymby rozpedził z serc naszych to smutne wrażenie.

Wypadałoby nam jeszcze skreślić właściwości gry p. Mikuli t. j. czem ta gra różni się od gry innych mistrzów. Oto nie zrównaną lekkością i śpiewnością. Zdaje się iż pan Mikuli nie dotyka się klawiszów. Śród i podczas najtrudniejszych passażów wionie nie, az akord tak lekki jak zefir letni. Za ledwie uwierzyć można iż to uderzenia wkławiśże. A śpiewności podobnej w grze fortepianowej nie słyszeliśmy dotąd. Nie jest to tylko śpiewność w tonach flażoletowych, którą Liszt celuje, ale nawet w basie. Niepatrząc na grającego, zdawałoby się, iż to pociągnięcie smyczka po strunach skrzypcowych lub wionczeli. Chopin celował odjęciem fortepianowi tych właśnie niedostateczności, które z natury swej ma ten instrument. On zlewał dźwięki fortepianowe w śpiew fletu lub skrzypców. Te same właściwości ma i gra pana Mikuli. — Przy tej lekkości i śpiewności jaka jest w grze pana M. szybkość najlepiej dowodziło odegranie *Etudy* Chopina. Nawet powiedzieliśmy, iż zanadto szybko grał nawet tę *Etudę*, tak, iż piękność jej nie uderzyła wszystkich, gdybyśmy niewiedzieli, iż takie celowanie w szybkości może być zamiarem p. Mikuli, jak jest charakterystycznym dążeniem u wszystkich dzisiejszych koncertistów.

Pan Mikuli grał na fortepianie Streichera, dobrym, dźwięcznym instrumencie. Jedyne w basie był głos nie dość jeszcze czystym i pełnym. Zresztą przeszkadzało panu M. w grze skrzywienie i uderzenia pedału, nie zawsze w takt kompozycji wpadać mogące, co dopiero przed odegraniem fantazyi Thalberga usunięto. —

Teatr.

Z Warszawy. — Balet i teatru. — (Dokończenie.)

Jak podczas nocy na ciemnym niebie, kiedy je czarne osłoniały chmury; błysnę czasami jakaś gwiazdeczka, aby chwilowem pocieszyć nas światłem, tak też nawzajem na hyrozencie sceny naszel przez owe massytumanów francuzczyzny, poniecowanych na wszystkie strony, zabłysł czasami rodzinny obrazek, ale ani rozświecił czarnego tła chmury, ani promieniem swoim nieprzedarł się nigdy do tajników sere.

A były isą takie dusze i serca, które z radością witały tę gwiazdkę, tak jak po trudach nocnej wędrówki witamy jutszenkę, ale głos jeden niemógł się przebić przez twarde zapory, a powstrzymanie głównego bodźca, przez zachęcenie materyalne do pracy, a nadewszystko do dalszego wytrwania, uspiło niejako nastrojone na swą notę lutnie, i odrętwienie ośwładnęło piszących. Z pracujących dawniej dla sceny, znani są jako autorowie: Hr. Fr. *Skarbek* którego sztukę oryginalną dotąd są grywane, Ludwik *Niemajowski*, którego kilka komedyi, także oryginalnych utworów, bo o takich tu tylko mówimy, ogłoszone zostały drukiem; artysta dramatyczny *Ładnowski*; wreszcie *Majeranowski*, do tego dodawszy artystów sceny tutejszej *St. Bogusławskiego* i *Chomińskiego*, będziemy mieli podobno skończony szereg au-

torów scenicznych. Nieco dawniej, jednym z najtrwalszych pracowników dla sceny był dzisiejszy dyrektor *J. Jasiński*, a pomiędzy masą sztuk różnego rodzaju, jakimi przysłużył się nam w tłumaczeniu napisał także kilka oryginalnych, a z tych jak jedne tak drugie dotąd jeszcze z przyjemnością są widziane na scenach obu teatrów. *Jasiński* bowiem całą duszą umiłował scenę i oddał jej się z całym zapalem.

Lecz największą przysługę teatrowi polskiemu wyświadczył *Józef Korzeniowski*, którego talent i dzieła są zanadto powszechnie znane i uznane, aby je tu wspominać.

Na tem kończymy przegląd teatrów warszawskich, skreślony przez pana Kucza, redaktora *Kuryera Warszawskiego*, z *Pamiętników* miasta Warszawy z roku 1853. Zamierzając o nowych sztukach dawanych na teatrze warszawskim dawać sprawozdania w naszym dzienniku, potrzeba było dać czytelnikom choć ogólne wyobrażenie o stanie tych teatrów.

Rozmaitość.

Najjaśniejszy Pan swej Dostojnej Narzeczonej ofiarował w kalendarz Bożego narodzenia cudnej roboty brazoletkę wartości 100,000 złr. m. k.

Jego Cesarska Mość, **Cesarz Ferdynand** wsparł towarzystwo tanich druków dla ludu znacznym bardzo datkiem. Również to towarzystwo otrzymało znamienite zasiłki od JEx. hr. Buol Schauenstein, JEx. Fldmszp. hr. Grünne i JEx. Księcia Schwarzenberga.

Z podróży po krajach zakaukaskich. — Redoutkale wygląda jak miasteczko w którym dla jarmarku postawiono w dwóch rzędach drewniane budy kramne na kłódach oparte. Nawet koszary i cerkwie zbudowane są z drzewa. Okolica jest nisko położona i wilgotna, robactwo roztacza drzewo w kilku latach, na kilka więc lat tylko stawiają te baraki. Ogromne lasy ciągnące się aż ku brzegom czarnego morza, czarnoziem humusowy na kilkanaście sążni głębokości, skały żadnej nie widać. Kamienie do budowy sprowadzać by potrzeba z daleka na okrętach. Baraki stawiane są na palach, bo morze bijące przez większą połowę roku gwałtownie o wybrzeża niskie, zamula i zacieśnia ławami piasku ujścia rzek, i całe nadbrzeże okryte przeto bagniskami i trzęsawiskami. Osobliwie więc Mingrelia przerznięta wielką ilością rzek i rzeczek, i okryta na trzęsawiskach i równinach swych roślinnością na dzwycząjnie bujną, jest jedną z najniezdrowszych okolic świata. I Redoutkale zbudowane jest na trzęsawiskach a w dzień słotny z szedłszy z głównej ulicy można by zatonać w błocie. Główna ulica wysypana jest na kilka stóp głębokości żwirem morskim.

Całe wybrzeże Kolchickie nad Czarnem morzem niema ani jednego dobrego portu. Przed Redoutkale nawet kotwicę zarzucić trudno. Niema tu ani portu, ani zatoki, a nawet podczas mniejszych orkanów przed uderzeniem fal nie ostoi się tu żaden okręt na kotwicy. Skoro więc niebo zwiastuje burzę, zdejmują kotwież stojące tu okręta i puszają się na otwarte morze, bo tam są bezpieczniejsze.

Rzeka Chopi przerywa się śród miasteczka Redoutkale do morza i jest dosyć głęboka aby większe dzwigać okręta i dać im przytułek bezpieczny. Ale ujście jej jest zamulone i tak płytkie, iż tylko małe jednomasztowe statki tureckie z Trebizondy, Sinopy i Samunu, wiodące handel z tą krainą mogą bez narażenia się widocznego krążyć po nad wybrzeże Kolchickie, a w razie burzy w ujścia rzek się chronić, luk na płaskim brzegu przeczekać burzę.

Gdy w roku 1821 nadano zakaukaskim krajom wolność handlową nakład dziesięć, Redoutkale stało się jednym z najważniejszych punktów handlowych nad Czarnem morzem. Lecz gdy w r. 1832 ten przywilej ustał, handel karawanowy perski znowu do dawniejszej wrócił drogi, począł iść na Trebizondę i Erzerum. Trzy najbogatsze domy greckie w Stambule ośwładło cały handel który urządzeniem żeglugi pa-

rowej między Stambulem i Trebizondą szybko do wielkiej przyszedł świetności. Z Anglii głównie wszystkie poczęły iść towary tedy w głąb Azji, a handel rossyjskimi towarami z Moskwy upadał. A gdy upadł handel przechodowy w prowincjach za-kaukazkich, już i wywóz surowych produktów tamtejszych uciepieć musiał, bo dawniej przybijające do Redoutkale z towarami okręta wracające, za połowę opłaty zabierali te produkta z sobą. Redoutkale podupadło i opustoszało. Dopiero w ostatnich latach na przedłożenie księcia Woronzowa przywrócono tym krajom znowu wolność handlową i przy rozpoczęciu konkurencji dwóch dróg handlowych, jedną na Redoutkale i Tiflis, drugą na Trebizondę i Erzerum poczyna się wznosić i Redoutkale obecnie.

Wojsko perskie. — Anglik Colombarry, który lat kilka był instruktorem w wojsku perskiem opowiada, iż raz jednego dwa bataliony Afzarów rozpoczęło prześladowania żydów, kaleząc i zabijając takowych. Gdy pułkownik temu się opierał, wsadzili go na osła, i wśród trąb i bicia bębnow oprowadzali po mieście. Później ruszyli w pochód, obrali sobie nowego pułkownika, zaczęli bony wydawać na skarb i rekwirować żywność. Wysłana komisyja pod przewodnictwem księcia Malek rozbroiła zbuntowanych. Wszyscy otrzymali bastonady; oficerowie tak długo, dopóki nie odpadła przednia część stopy; podoficerom odjęto palce, innym uszy lub nosy. Komisyja bez asystencyi wojskowej przywoływała jednego po drugim. Występowali z szeregu i kalectwu pod dawali się z największą pokorą. Jedyne fatalizm mahometański może wytłumaczyć podobne zdarzenie.

Często wspominaną w wojnie tureckiej wieś Madara w Bułgarii zamieszkaną przez same dziewczęta, tak opisuje podróżnik francuski: „O milę od Szumli w Bułgarii leży wieś Madara, zamieszkaną jedynie od kobiet. Jest ich tam do 2000, tworzą gminę, która uwolniona jest od wszelkich danin, wyznają izlamizm a zasłony nie noszą. Madara jest schronieniem dla kobiet, chcących zasłonić się od zemsty mężów, lub dziewcząt, uciekających od rozniewianych krewnych lub rodziców. Znaleźć więc tu można niewiasty z wszystkich krajów tureckich. Gdy się podróżny zbliża, wychodzą naprzeciw niemu i zapraszają do swych domów. Bardzo gościnnie przyjmują, u siebie; ale biada podróżnemu, któryby tu przybył jedynie dla zaspokojenia ciekawości swej. Wypędziłyby go z hańbą z pomiędzy siebie. Dawniej Dere-bejowie z pomiędzy mieszkanek Madary wybierali swe tancerki, które były oraz ich strażą przyboczną, a uzbrojone od stóp do głowy, na lekkich koniach towarzyszyły im w wyprawach wojennych. Gdy ta kolonia od najdawniejszych istnieje czasów, więc być może, iż to są ostatki owych amazonek, o których wspominają dzieje starożytne.”

Verviers, jak wszystkie miasta belgijskie, zasiane prawie fabrykami; ale dla nas, a mianowicie dla obywateli wiejskich, ważna z nich tylko i prawdziwie zajmująca fabryka sukna pana Violet. Fabryka, czyli właściwiej powiedziawszy, fabryki sukna pana Violeta w *Verviers*, absorbują ogromną masę wełn zakupowanych przez domy handlowe w Niemczech. Znaczna a bodaj nie znaczniejsza część wełn polskich przedawanych po jarmarkach Berlińskich, Szczecińskich, Poznańskich, Wrocławskich i Kaliskich, znajduje się razem po długich wędrówkach w fabryce *Vervierskiej*. Rodzina baronów Violetów, bezwątpienia jedna z najbogatszych w całej Europie, sławna z gorliwości katolickiej, ma na siebie włożony obowiązek przez jednego z przodków swoich, aby poświęcała zawsze część pewną majątku na utrzymywanie fabryki sukna a tem samem i na zatrudnianie i utrzymywanie kilkuset ubogich robotników wraz z rodzinami. Dopełnienie obowiązku tego nie jest już teraz dla Violetów poświęceniem, czego najwidoczniejszym dowodem i to, że naczelnik ich fabryk w *Verviers*, był kapitan wojsk francuzkich, rocznie do 40,000 fr. pensyi pobiera.

Nie wielu zapewne wiadomo, że w południowo-zachodnich okolicach Stanów Zjed. amerykańskich istnieje wolne, niezawisłe państwo **Indyan**, którzy sami się rządzą, bez wszelkiego wpływu białych. Naczelnik tego małego, ale błogo rozwijającego się kraiku **Chorek-sów** złożył narodowi w końcu jesieni sprawozdanie z upłynionego roku, świadczące, że czerwono-skórzy Indianie tamedzni, więcej mają u siebie szkółek dla chłopców i dziewcząt, niż nie jedno cywilizowane państwo; a liczba nieumiejących czytać i pisać, daleko mniejszą tam jest stosunkowo niż w Wirginii lub Anglii. W sprawozdaniu swem wystawia prezydent potrzebę założenia wyższych szkół i biblioteki w tak zwanej stolicy. Spokój i porządek głębiej tam są utrwalone niż w sąsiednim stanie Arkansas, — a co do finansów, powiemy tylko, że kraj Cherokeeów wolny jest od wszelkich długów.

Do liczby szczegółowych, miejscowych zwyczajów, charakteryzujących lud Stanów zjednoczonych, należy doroczny obchód **Dnia dziękczynnego**. Gubernatorowie Stanów pojedynczych, w których ten zwyczaj istnieje, wydają do ludu proklamacyę, wzywającą go; aby w oznaczonym dniu wstrzymał się od wszelkich zatrudnień i poświęcił te chwile wyłącznie dziękczynieniu Bogu, za hojne upłynionego roku błogosławieństwa. W roku bieżącym, dwadzieścia sześć Stanów Unii przeszło za tym zwyczajem w d. 24. listopada. Interesa wszelkie w takim dniu są w zawieszeniu, bióra i zakłady publiczne zamknięte, po wszystkich kościołach odprawiają się nabożeństwa. W roku bieżącym pocieszające uczyniono postrzeżenie, że uroczystość, ta, odbyła się solennie i uroczyściej, niż w latach poprzednich.

Cafés chantants. — W Paryżu na Polach Elizejskich, znajdują się maleńkie teatrzyki z również maleńką sceną dla publiczności większej, zgromadzonej pod gołym niebem. Przedstawienie trwa cały wieczór i ogranicza się na śpiewaniu różnych wątpliwego pochodzenia i znaczenia piosnek, deklamacyi połączonej ze śpiewem, w czem szarlatani francuscy niepospolitą posiadają zręczność, tudzież na odgrywaniu przez orkiestrę różnych mniejszych utworów muzycznych, podczas gdy aktorowie i aktorki siedzą na scenie na wywyższonym miejscu i oświetleni blaskiem lamp i świateł odpoczywają w przeświadczeniu swego talentu i swych wielkich zasług.

Publiczności zawsze tu co nie miara, mianowicie po za bareyrą wyciągniętą ze sznuru, po za którą stojąc nie potrzeba wcale płacić. Te *cafés chantants* mają swoją osobną publiczność, swych osobnych aktorów, a co dziwniejsza, swych autorów. Tak jak Delavigne, Hugo lub Dumas piszą dla Théâtre français lub Porte St. Martin, tak i *cafés chantants* mają swych osobnych i uprzywilejowanych pisarzy, którzy prawda, że się wieczności pewnie nie dobiją. Bądź co bądź jednakże francuzkie *cafés chantants* są prostym wynikiem potrzeby pewnej klasy społeczeństwa paryskiego i noszą na sobie pewne narodowe charakterystyczne piętno.

Na Szlaku gmina jedna miała **dom gromadzki**, którego do niczego użyć nie mogła. Płaciła podatek 1000 domowy, płaciła od zabezpieczenia towarzystwu ogniowemu a korzyści najmniejszej z tego domu osiągnąć nie mogła. Zeszła się więc na naradę gromada co z tym domem czynić mają. Aż jeden z rajców podał projekt aby dom podpał. Po niejakiem wahaniu projekt przyjęty, i rozumie się, potajemnie wykonany został. Towarzystwo ogniowe wypłaciło zabezpieczoną kwotę. W rok dopiero pokłócili się rajcy między sobą i wydało się wszystko. Właśnie teraz uczestnicy tej sprawy skazani zostali na karę więzienia od sześciu miesięcy do roku.

Grono literatów tutejszych oddających się pracy poważniejszej, badaniom historyczno-krytycznym i bibliograficznym zobowiązało się staranniej i pilniej niż dotąd swemi artykułami zasilać **Dziennik literacki** wychodzący nakładem pana Manieckiego, któremu należy się wdzięczność wielka, iż pomimo szczupłej liczby prenumerantów trzeci już rok z dość znacznymi ofiarami wydaje ten dziennik. Jeżeli uczeni mężowie nie szcedzą pracy a wydawca na-

kładu 'spodziewać się należy, iż znajdą się w kraju ludzie, którzy nie tylko nasze „nowinki,” czytały ale i poważniejszą lekturą zatrudniły się, tym sposobem i do istnienia tego pisma przyczynić się zechcą.

W Czasie w krytyce o teatrze lwowskim unioś się za nadto korespondent niechęcią do młodszych artystów. Osobliwie p. Natorkiemu, młodemu, początkującemu aktorowi, który właśnie w roli studenta i nie źle śpiewał i nie źle grał, odmówił talentu i pojęcia artystycznego. Lecz wkrótce będziemy mieli sposobność nad grą młodszych aktorów dłużej się zastanowić i raz jeszcze dotknąć tej krytyki. —

Z Wiednia nam piszą, iż tłumaczenia się pana **Dawisona** w dziennikach wiedeńskich, że z powodu słabości żony, której klimat wiedeński nie sprzyja, chciał opuścić scenę wiedeńską, istotnie na prawdzie polegać ma. Dyrekcyja zamysłała również dać mu uwolnienie, gdy inny artysta powoła w jego rolę wejdzie. Ztąd wszystkie większe poczęła odbierać mu rolę, i tylko przy mniejszych go pozostawiała.

Niedawno doniosły dzienniki o ostatnim wystąpieniu w Theatre français znanej z gościnnych przedstawień i na tutejszej scenie **panny Georges**. Publiczność zebrała się bardzo licznie, sam wybór towarzystwa. Obsypano artystkę która przed 50 laty po raz pierwszy wystąpiła była na scenie kwiatami i wierszami. Lecz oklaski największe pozyskała młoda, dwudziestoletnia artystka, która sobie ten wieczór wybrała do pierwszego wystąpienia na klasycznej scenie tego teatru. Dwie wielkości były na scenie. Dla jednej zstępującej z widowni świata, na której zdumiewała całą Francją, widzowie mieli jedynie litość, dla drugiej wchodzącej na tę widownię był zapach i oklaski.

Głoszą, iż dla zajęć osobistych podczas próby między panią **Aszpergerową** i panem Pfeifferem dyrektorem teatru, pani Aszpergerowa nie chce więcej występować na tutejszej scenie, iż więc niewinna publiczność ukarana została. Tym pogłoskom o ile dowiedzieliśmy się zaprzeczyc można. Pani Aszpergerowa nie występuje z przyczyny słabości, której wprawdzie owe zajęcia powodem być może. Skoro tylko przyjdzie do zdrowia, wystąpi w benefisie panny Rudkowskiej. Rozstrzygnięcie zaś sprawy swej, jak nam mówią, pozostawia słusznie przynależnej instancji.

W teatrze wiedeńskim przygotowują przedstawienie nowej tragedji najznakomitszego obecnie poety niemieckiego Hebbela pod tytułem: **Magelona**. Jestto przerobienie sztuki dawanej po scenach innych pod napisem: „Gen o w e f a.” —

Literatka. — Co pani tak pilnie czytasz? Historią o bladej dziewczynie. . . „A znam tę powieść, to Kraszewski napisał.” „Przepraszam to drukowana, nie pisana.”

Jutro w teatrze polskim na dochód pana Rejmersa po raz pierwszy dramat: **Chata wuja Tomasa**, podług znanej powieści p. Beecher **Stowe** napisany.

Znaczenie szarady w poprzednim numerze: **Sobieski**.

Szarada.

Pierwsza i trzecia rozkazy nosi,
Pierwszej i drugiej pięknie się prosi;
Wszystko za podarek służy,
Albo prowadzi w podróży.

Przyjechali dnia 6. 7. 8. i 9. stycznia do Lwowa:

PP. Doliniański Sylwester baron i wł. dóbr, z Dolinian. Lewicki Marcin wł. dóbr, z Bonowa. Karol Łoś hr. i wł. dóbr, z Kulmatyc. Turkuł August wł. dóbr, z Serędca.

PP. Czaykowski Waleryan dzw. dóbr, z Nadczy. Gołębski Marcell dzw. dóbr, z Sławętyna. Gołuchowski Stanisław hr. i wł. dóbr,

ze Skały. Harasymowicz Marcin wł. dóbr, z Tejsarowa. Kozaryn Fabian dzw. dóbr, z Uliczka. Niewiadomski Tadeusz dzw. dóbr, z Sopszyna. Nowosielski Erazm mand., z Pikułowic. Peszyński Tadeusz wł. dóbr, z Milatycz. Rychalski Felix dzw. dóbr, z Derewian. Węglowski Konstanty rz. dóbr, z Żółkwi. Wendorf Antoni wł. dóbr, z Hołoska Wereszczyński Nikodem dzw. dóbr, z Firlejówki. Wiktor Walentyn dzw. dóbr, z Kozielnik. Zurakowski August dzw. dóbr, z Korczynna.

PP. Abgarowicz Teodor dzw. dóbr, z Wierzbowic. Czaykowski Hipolit wł. dóbr, z Sarnik. Glixelli Juliusz wł. dóbr, z Glinian. Gołejewski Kornel hr. i wł. dóbr, z Krzywca. Gorczyński Teofil rz. dóbr, z Łoźni. Gottlieb Kwiryn wł. dóbr, z Dołhomoskisk. Gorajski Ludwik i Stanisław wł. dóbr, z Modorówki. Gromnicki Michał pleban, z Bortnik. Jaworski Mikołaj wł. dóbr, z Kobelnicy. Köwess Kornel rz. dóbr, z Milna. Malczewski Stanisław wł. dóbr, z Cześnik. Pinder Karol miesz. z Brodów. Puzyna Hortenzya wł. dóbr, z Gwozdca. Radecki Felicyan wł. dóbr, z Łukawicy. Rylska Konstancya wł. dóbr, z Sambora. Winnicki Tytus wł. dóbr, z Liska. Zbrożek Adam wł. dóbr, z Wierzbicy.

PP. Jan Demiński mand., z Strzemilcza. Józef Drzewicki właśc. dóbr, z Rymanowa. Kwiryn Kapuściński mand., z Brzuchowic. Kajetan hrabia Karnicki wł. dóbr, z Bełzca. Benedyk Kuszczkiewicz rz. dóbr, z Krzywego. Kwiryn Niezabitowski wł. dóbr, z Płuhowa. Stanisław Papara wł. dóbr, z Dolni. Bazyli Podlaszewski gr. kat. pleb. z Ozomli. Kajetan Pohorecki dzierz. dóbr, z Horpin. Józef Rodkiewicz wł. dóbr, z Krzywego. Jakób Wieliczko gr. kat. pleban z Uhrynowa. Jan Żurakowski wł. dóbr, z Zadanowa,

Wyjechali

dnia 6. 7. i 8. stycznia ze Lwowa:
PP. Brześciański Sylwery wł. dóbr, do Rustewka. Komorowski Piotr hr. i wł. dóbr, do Sokala. Obertyński Henryk wł. dóbr, do Cieleża. Milewski Stanisław dzw. dóbr, do Złoczowa. Mioduszewski Ignacy rz. dóbr, do Łuży.

PP. Gross Piotr wł. d., do Koniuszek. Karasowski wł. d., do Teteuczyc. Lukawski Wincenty mand. do Żółkwi. Łoś August hr. i wł. dóbr, do Rawy. Niezabitowski Napoleon wł. dóbr, do Wiszni. Nowosielski Erazm mand. do Pikułowic. Obniski Wiktor wł. dóbr, do Mycowa. Onyszkiewicz Fortunat wł. dóbr, do Borysowa. Szczepański Władysław wł. dóbr, do Brzeżań. Zagórski Mieczysław do Gnojkowa.

PP. Czaykowski Waleryan dzw. dóbr, do Nadczyca. Gnoiński Aleksander wł. dóbr, do Krasnego. Górecki Ludwik rz., do Podsosnowa. Mierzyński Rafał wł. dóbr, do Baryłowa. Mikolasch Piotr aptekarz, do Krakowa. Niewiadomski Tadeusz dzw. dóbr, do Sopszyna. Papara Henryk wł. dóbr, do Zubowychmostów. Sorger-Ledpold miesz. do Żółkwi. Turkuł Tadeusz wł. dóbr, do Polski. Tymiański Justian rz., do Zuźla. Urbański Tadeusz wł. dóbr, do Sambora. Węglowski Konstantyn rz. dóbr, do Zameczka. Złocki Wiktor rz. do Sambora.

Kurs lwowski.

Dnia 9. Stycznia.	gotówka	towarem.
Dukat holenderski	zlr. 5 kr. 31	zlr. 5 kr. 36.
Dukat cesarski	" 5 " 36	" 5 " 40.
Półtempała zł. rosyjski	" 9 " 38	" 9 " 42.
Rubel srebrny rosyjski	" 1 " 52	" 1 " 53.
Talar pruski	" 1 " 44	" 1 " 45.
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1 " 23	" 1 " 24.
Galicyskie listy zastawne za 100 zlr.	" 90 " 5	" 90 " 26.

Kurs telegraficzny z Wiednia 9. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg 121. Frankfurt 120. Hamburg 91. Liworno 118½. Medyolan 181¾. Genua 141. Londyn 11. 49. Marsylia 141. Paryż 142. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio 20. Pożyczka 5% 91¼. 4½ 80%. Pożyczka lit. B. 5% — Akcyje banku 1357. Kolej północna 2225.

Doniadujemy się iż w piątek odegra pan **Mikuli koncert drugi**.

Jutro pierwsza **reduta**.